WTOREK Nr 64 31 V 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Czytelnicy kochani! Wiemy, że czasami zdarzają się Wam przejściowe kłopoty z pamięcią. A to zapomnicie odrobić lekcje, a to wyrzucić śmiecie lub też posprzątać po sobie ten przeraźliwy bałagan... Ale przecież o tym, że jutro MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA – nie zapomniał chyba nikt!

Bo tak naprawdę – każdy z nas, niezależnie od tego czy nosi wąsy czy tornister, chodzi do szkoły lub na wysokich obcasach – jest po trosze dzieckiem. I dlatego też dzisiaj przygotowaliśmy dla Was obfitość specjalnie przyrządzonych na tę okoliczność atrakcji... Sądzimy, że będą one nie mniej smaczne niż gigantyczna porcja lodów pistacjowych, a przy tym – co jest nie bez znaczenia – z całą pewnością mniej szkodliwe dla zdrowia...

Od dłuższego już czasu telewizja, za sprawą filmu produkcji japońskiej, opowiada nam przygody dzielnego Sindbada Żeglarza, który żeglując po morzach i oceanach dzielnie stawia czoła dramatycznym przygodom. W „Księdze tysiąca i jednej nocy" jest tych przygód siedem, i ta ostatnia wyprawa kupca z Bagdadu trwa całe dwadzieścia siedem lat!

Śladami bohatera ludowych opowieści Wschodu, spisanych w języku arabskim przed dziesięcioma stuleciami, wyruszył Tim Severin na pokładzie żaglowca „Soher". Na stronie 4–5 znajdziecie fragmenty zapisków z jego egzotycznej żeglugi...

TO WIĘCEJ NIŻ ZABAWA W TEATR!

Z okazji Przeglądu zespół „Tyci-tyci" z Kryniczna wystąpił z reprezentacyjniejszymi lalkami i oczywiście z afiszem

Fot. **Marek Szymański**

CZYTAJCIE NA STR. 3

ESPERANTO DLA NAJMŁODSZYCH

BYDGOSZCZ (PAP). W Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy powstał podręcznik do nauki międzynarodowego języka esperanto, przeznaczony dla dzieci – głównie w wieku 10–13 lat. Książka zredagowana w przystępny sposób umożliwi – głównie poprzez proste teksty, wiersze i piosenki – szybkie opanowanie podstaw tego języka i uczestniczenie w kursach konwersacyjnych.

W Bydgoszczy działa także jedyne krajowe biuro turystyki esperanckiej, utrzymujące rozległe kontakty z miłośnikami międzynarodowego języka na całym świecie. (**kl**)

NOWY KOMIKS

dwa lata wakacji

W/G JULIUSZA VERNE
SCENARIUSZ I RYSUNKI TADEUSZ RACZKIEWICZ

GDZIE KUPIĆ WILKI?

(PAP). Wilki, których do niedawna całe stada panoszyły się w krajach Półwyspu Skandynawskiego, okazują się być gatunkiem na wymarciu. Tegoroczny zimowy „spis", dokonywany corocznie w Szwecji i Norwegii przez służby leśne, przyniósł zatrważające wyniki. W Norwegii udało się zidentyfikować tylko 7 wilków, natomiast w Szwecji – żadnego. Oczywiście „spisy" ze śladów leśnych nigdy nie są dokładne i z reguły udaje się zarejestrować mniej zwierzyny niż żyje jej naprawdę. Niemniej wszystko wskazuje na to, że wilki w Skandynawii zostały doszczętnie wystrzelane w ostatnich latach. Nie byłoby niespodzianką, gdyby wspomniane państwa zdecydowały się na import tych groźnych, ale pożytecznych w sumie drapieżników... (**kl**)

Charlie Chaplin... w muzeum

FRANKFURT (PAP). Na bulwarach nad Mozelą we Frankfurcie nad Menem otwarto w klubie filmowym Archiwum Charlie Chaplina. Zgromadzono tu ponad 5,5 tysięcy eksponatów związanych z życiem wielkiego reżysera i aktora. Są tu książki o nim tłumaczone na wiele języków (m.in. na chiński), jego portrety, karykatury, oczywiście fotografie, plakaty filmowe i wycinki prasowe na jego temat. Jest tu też salka projekcyjna na 25 miejsc, w której można oglądać wszystkie filmy Chaplina, począwszy od krótkometrażówek z r. 1914, a kończąc na kręconym w 1957 r. w USA filmie „Król w Nowym Jorku".

W muzeum tym są też eksponaty mniej poważne. Podobizny tego nie tylko aktora i reżysera, ale przecież także kompozytora muzyki filmowej, tancerza, pieśniarza i dyrygenta w jednej osobie – były przecież powielane na setkach pudełek papierosów i zapałek, na opakowaniach do kawy, papeteriach i młodzieżowych koszulkach, a także rzeźbione w marcepanie i lepione z masy papierowej. Opiekun muzeum Chaplina – inżynier z Darmstadtu, Wilhelm Staudynger – odwiedził niezliczone „pchle targi" świata i sklepy ze starociami wyławiając wszystko, co się dało: guziki z Chaplinem, solniczki z Chaplinem... To wszystko, co świadczy o wielkiej miłości i poważaniu, jakim darzył go cały świat. (**eb**)

Spotkajmy się jutro przed pałacem

Dla każdego coś ciekawego

Jutro, 1 czerwca br., warszawski Pałac Młodzieży zaprasza na swój doroczny festiwal „NA PRZYZBIE" organizowany z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka. Przygotowano bardzo różnorodny i interesujący program tak, by każdy mógł znaleźć coś dla siebie. O godzinie 16-tej rozpocznie się barwny korowód dla najmłodszych, po czym wszyscy będą mogli się bawić na balu kostiumowym, prowadzonym przez wodzireja. Zabawie towarzyszyć będą gry, konkursy, niespodzianki oraz loteria fantowa. Pałacowe sekcje sportowe zapowiadają prezentację pokazów gimnastyki artystycznej, akrobatyki, szermierki, tenisa stołowego, zawody w pływaniu i skokach do wody. Miłośnicy przyrody będą mogli obejrzeć wystawę ryb i roślin akwaryjnych, zbiorów i kolekcji przyrodniczych, a interesujący się techniką – pokazy modeli latających i pływających. Przewidzianych jest poza tym mnóstwo konkursów, m.in. plastyczny, fotograficzny, czytelniczy, sportowy. Po tych wszystkich emocjach warto będzie zajrzeć na estradę młodzieżową i obejrzeć widowisko artystyczne z udziałem zespołu „Gawęda", Teatru Młodych, sekcji muzycznych, choreografii i klubu tańca towarzyskiego (godz. 18–19). Festiwal zakończy zabawa taneczna „w dyskotekowym rytmie". Festiwal „NA PRZYZBIE" odbędzie się na terenach przyległych do Pałacu Młodzieży od strony ul. Świętokrzyskiej. Przypominamy: początek o godz. 16-tej. Zapraszamy! (**mj**)

Uwaga, uczestnicy konkursu „DROGI DO WOLNOŚCI"

Kolejny 11 odcinek zadań konkursowych znajdziecie w numerze czwartkowym.

W zespole tańczą dzieci w wieku od 6 do 15 lat. Te najstarsze wykonują bardziej złożone i trudniejsze układy choreograficzne, jak np. ten pt. „Bałwanki".

PROSIMY WAS O UŚMIECH PRZEZ BARDZO DUŻE „U"...

...napisali do nas członkowie Harcerskiego Zespołu Artystycznego „Uśmiech", działającego przy Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie, zapraszając przy tej okazji na uroczystą premierę swojego programu. Co prawda takich tańczących i śpiewających wesołych gromad mamy w kraju całe mnóstwo i fizyczną niemożliwością jest, by „ŚM" bywał na wszystkich proszonych koncertach, ale rzeszowianom odmówić nie mogliśmy. Skoro nasz uśmiech ma dopomóc i zadecydować o udanym występie, to jedziemy...

W Teatrze im. Wandy Siemaszkowej – gdzie miał się odbyć koncert – zjawiliśmy się na kilka godzin przed premierą. Za kulisami panował wielki harmider i gorące przygotowania. Setka dzieci, babcie, mamy i tatusiowie zapinali na ostatni guzik kolorowe stroje, pozostałe zaś układali tak, by można je było sprawnie i szybko zmieniać przed kolejnym wyjściem na scenę. Kiedy już wszystko i wszyscy byli gotowi, okazało się, że nie mogą zaczynać, bo „nie grają" jeszcze światła. Pan od ich ustawiania – pracownik teatru – ani rusz nie mógł sobie z nimi poradzić i cień okrągłego emblematu zespołu, zawieszonego pod sufitem, przybierał różne jajopodobne kształty. Czyżby miał to być zły omen? Wszystkie babcie i mamy nie mogły ukryć okropnego zdenerwowania, wykonawcy natomiast zachowywali stoicki spokój. Kiedy ma się za sobą dziesiątki prób, nikogo podobna sytuacja nie dziwi... Koncert „Snów dobrych życzenia" odbył się bowiem zgodnie z planem, bez niespodzianek i większych potknięć, chociaż trwał bite dwie godziny.

– Lubią tańczyć, śpiewać, uśmiechać się, dlatego są w zespole – **mówi kierowniczka grupy dh. hm. Halina Niedzielska**. *– Oczywiście nie są to jedyne warunki uczestnictwa, ale jak pokazuje nasze siedmioletnie doświadczenie – niezbędne. Nie zmuszamy nikogo do udziału w naszych zajęciach i pozostają tu tylko ci, którym ta zabawa, ale również praca, sprawia przyjemność. Być może dlatego tak mało mamy w zespole chłopców – zaledwie ośmiu w stuosobowej grupie. Owszem, zapisują się, zdają nawet nieźle konkursowe egzaminy wstępne, ale szybko rezygnują. Pewnie wolą piłkę i inne dziedziny sportu. A może przeraża ich dyscyplina oraz niemały wysiłek... Ćwiczymy bowiem dwa razy w tygodniu przez trzy godziny, a ponadto prowadzimy normalną pracę harcerską. Wszystkie „Uśmiechy" – z wyjątkiem tych najmłodszych – są bowiem zuchami lub harcerzami i obok zajęć artystycznych chodzą na zbiórki, zdobywają sprawności, wyjeżdżają na biwaki, zimowiska i obozy. Warunkiem pozostania w zespole są oczywiście dobre wyniki w nauce. Trzeba więc umieć godzić liczne obowiązki – szkolne, domowe i te, zespołowe, a kto sobie nie radzi, musi niestety od nas odejść.*

W najlepszej sytuacji jest jak na razie Asia. Ma zaledwie pięć i pół roku i nie musi się jeszcze martwić o stopnie. W zespole, którego jest maskotką, śpiewa i tańczy już od blisko dwóch lat. Asia wystąpiła w ośmiu punktach koncertu (a więc w 1/3 programu) i w jednej solówce. Poruszając się po scenie śmiało i z wdziękiem, zachęcała do zabawy młodszą część widowni, śpiewając: *baw się ze mną w zielone, chowanego i berka*... Bo trzeba wam wiedzieć, że cały program koncertu, to muzyczno-taneczne inscenizacje dziecięcych zabaw, scenek z podwórka, obozu, codziennych spraw wielkich i małych, ułożone tematycznie w cztery oddzielne części. Pierwsza pt. „Harcerze i zuchy", była prezentacją zespołu, następna – „Od wiosny do zimy", opowiadała o czterech porach roku. „Uśmiechy" w pięknych, barwnych kostiumach popisywały się tu umiejętnościami w zakresie sztuki tanecznej, jak na przykład w tańcu „Kwiaty", „Liście" czy „Biała pani". Zaś w inscenizacji „Stragan", mdlejąca pietruszka, kłócące się jarzyny i lekceważący te swary seler, miały okazję wykazać się zdolnościami aktorskimi. Ubrane w falbanki i koronki dziewczynki, poruszające się jak nakręcone lalki w starych katarynkach, dobra wróżka odczarowująca uśpione śnieżynki czy osłupiały król, wysłuchujący czego to z uciech dziecięcych mu nie wypada (*król nie będzie w trampkach chodził... nie pojedzie na rowerze...*) – to bohaterowie niektórych inscenizacji składających się na „Bajki nie bajki". Były jeszcze „Nasze zabawy", gdzie „Uśmiechy" znów grały siebie – tańczyły z piłkami, skakały na gumach i skakankach, a starsze dziewczyny wywijały różne łamańce gitarami. Nie zabrakło też oczywiście dynamicznego tańca Disco w srebrzystych strojach i w migającym świetle.

Wykonawcy odtwarzali swoje role bardzo naturalnie, spontanicznie i swobodnie, bo dla nich – jak sami to powiedzieli – jest to przede wszystkim świetna zabawa. Co nie znaczy oczywiście, że nie obchodzą ich nagrody i wyróżnienia, bo te – a mają na swoim koncie liczne lokalne i I miejsce na Ogólnopolskich Konfrontacjach Dziecięcych Zespołów Tanecznych w Koninie z 1981 r. – są przecież ważną oceną ich pracy.

Gromkie brawa, zarówno po każdym punkcie programu, jak i na koniec koncertu świadczyły iż barwne, rozśpiewane i roztańczone widowisko „Uśmiechów" podobało się publiczności. Był to więc kolejny sukces zespołu. Mają w nim swój udział również troszczący się o piękne stroje rodzice i instytucje patronujące zespołowi: Komenda Chorągwi ZHP, Kuratorium Oświaty i Wychowania, Wojewódzki Dom Kultury, a także instruktorzy pracujący w większości społecznie. Oni też starają się, by słowa: *„z piosenką, tańcem, ruchem, zawsze się u nas spotkasz, zapewni ci je „Uśmiech", bo chlubą jest Rzeszowa..."* były nie tylko treścią piosenki...

WANDA SZKLARCZYK

Fot. **archiwum zespołu**

Spotkania

CYPRIAN KAMIL I TY

Jak zaczyna się wielkość? Kiedy rodzi się talent? Od czego zależy sława i powodzenie, uznanie i podziw innych? Może patrząc (często z zazdrością) na kogoś, kto ma tyle lat co my, a już wyróżnia się pośród tłumu, przewyższa go zdolnościami i sukcesami (choć to wcale nie musi iść w parze), zastanawiamy się, dlaczego to on, ona, a nie ja. W czym jestem gorszy? Może stać mnie na więcej? Co przesądziło, że jest tak jak jest?

Współczesna nauka uważa, że najważniejsze dla dalszego rozwoju człowieka jest dzieciństwo, najwcześniejsze lata życia. To, a może nawet miesiące w łonie matki, przesądzają o wszystkim. A otoczenie, wychowanie, zdobyta wiedza, własna praca nad sobą? Czy Paganini byłby Paganinim, gdyby ojciec biciem nie „zachęcał" go do skrzypiec? Czy Bach byłby Bachem, gdyby tylko urodził się, a nie także wychował w środowisku o wysokiej kulturze muzycznej? Czy Demostenes byłby Demostenesem, gdyby nie pracował nad własną wymową? Czy każdy z nich został tym, kim chciał być naprawdę?

„Dzieci! Dumne miejcie zamiary, górne miejcie marzenia i dążcie do sławy. Coś z tego zawsze się stanie" – napisał ten, który znał dziecko jak mało kto – Janusz Korczak. We wstępie do „Króla Maciusia Pierwszego", którą to książkę otwiera fotografia Starego Doktora jako małego chłopca, czytamy: „Fotografię taką dałem, bo ważne jest, kiedy naprawdę chciałem być królem, a nie – kiedy o królu Maciusisu piszę. I myślę, że lepiej dawać fotografię królów, podróżników i pisarzy, kiedy nie byli jeszcze dorośli i starzy, bo tak – to się zdaje, że oni od razu byli mądrzy i nigdy nie byli mali. I dzieci myślą, że nie mogą być ministrami, podróżnikami i pisarzami, a to nieprawda."

Ten sam Janusz Korczak w pamiętniku zwierza się ze swoich nie zrealizowanych planów literackich. Po opowieści o Pasteurze, zatytułowanej „Uparty chłopiec", myśli o następnych wielkich, których z pewnością przedstawiłby również, gdy byli jeszcze mali.

Na Korczakowej liście nie było Cypriana Kamila Norwida, którego stulecie śmierci – zresztą śmieci w opuszczeniu i zapomnieniu – obchodziliśmy właśnie przed tygodniem. Jak wyglądało jego dzieciństwo? Co zapowiadało?

Urodził się w roku 1821, 24 września, o godzinie ósmej wieczorem, w wielkiej niebiesko malowanej izbie dworku Norwidów w Laskowie-Głuchach. 1 października na chrzcie otrzymuje cztery imiona: Cyprian, Ksawery, Gerard i Walenty. Cztery lata później umiera jego matka, a opiekę nad czworgiem sierot obejmuje prababka Hilaria Sobieska. Gdy Cyprian ma lat dziewięć, odbywa się w Warszawie wielka uroczystość przeniesienia do nowo urządzonej kaplicy serca Jana III Sobieskiego, w której to uroczystości bierze pewnie udział również rodzeństwo Norwidów. W tym samym roku umiera prababka. Wkrótce potem Cyprian z rodziną przenosi się do Warszawy, gdzie w kilka miesięcy po wybuchu powstania zostaje wraz ze starszym bratem Ludwikiem przyjęty po egzaminie do drugiej klasy Gimnazjum na Lesznie. Obaj otrzymują promocję do klasy trzeciej, ale z niewiadomych przyczyn przerywają na rok naukę. Dwunastoletni Cyprian w imieninowym upominku dla ojca maluje na atłasie piękną różę. „Ten był pierwszy mój krok artystyczny w świecie" – napisze później.

W 1833 roku bracia Norwidowie rozpoczynają dalszą naukę w trzeciej klasie Wojewódzkiego Gimnazjum Warszawskiego przy Krakowskim Przedmieściu, którego rektorem był wówczas Samuel Bogumił Linde, autor sześciotomowego „Słownika języka polskiego". Starszym kolegą obu braci jest piątoklasista Artur Bartels, późniejszy poeta, karykaturzysta i satyryk, autor znanej piosenki o Warszawie, rozpoczynającej się od słow „Niedowiarki, czcze umysły, plotą nam rozprawy, że na tamtym brzegu Wisły, nie ma już Warszawy", którą do dzisiaj śpiewa jeszcze „Mazowsze". Cyprian i Ludwik wraz z kolegami asystują publicznej chłoście uczniów, którzy wymknęli się na miejsce egzekucji Artura Zawiszy, powstańca i uczestnika późniejszej zbrojnej wyprawy do kraju. Na pamiątkę zbierają drzazgi z jego szubienicy.

Choroba ojca przerywa naukę chłopców, kontynuowaną później na pensji i ponownie w Gimnazjum na Lesznie. Wśród kolegów Włodzimierz Wolski, późniejszy poeta, autor libretta do Moniuszkowskiej „Halki". Cyprian „nie bardzo świetnie się uczył, za to talent już objawiał niepośledni; ćwiczenia jego bywały zwykle podziwem nauczycieli i uciechą całej klasy." Ojciec Cypriana niespodziewanie trafia do więzienia za długi i tam umiera. Przyszły poeta jako czternastolatek otrzymuje promocję do klasy czwartej. Z polskiego i rysunków ma celujący, z religii, łaciny i rosyjskiego mierny, z pozostałych przedmiotów same dostateczne.

Dalsza nauka wygląda różnie. Aleksander Niewiarowski, młodszy kolega braci, późniejszy dziennikarz i pisarz notuje: „Cyprian już wtedy ze wszystkich poetów dawniejszych upodobał sobie Jana Kochanowskiego, którego poezje polskie na pamięć prawie umiał; ujawniał talent rysowniczy, chociaż główną cechą onego była nadzwyczajna zdolność do odtwarzania karykatur, często arcydowcipnych nawet". Trafia i do księgi nagan, a raz nawet otrzymuje rózgi. Promocja Cypriana do klasy piątej jest gorsza, Ludwik zostaje w klasie czwartej. Dostateczny z polskiego nie przeszkadza Cyprianowi zachwycić się „Dziadami", które były dla niego „potężną, jedyną nutą myśli i uczuć". W następnym roku szkolnym promocji nie otrzymuje Cyprian i jako szesnastolatek zapisuje się do szkoły malarskiej.

W dwa lata później przypadają narodziny i zgon pierwszej miłości Cypriana, której przedmiotem jest niespełna szesnastoletnia córka jego opiekuna. Powstaje „Mój ostatni sonet", pierwszy anonimowo opublikowany wiersz Cypriana Norwida, który imię Kamil przyjmuje dopiero w kilka lat później przy bierzmowaniu w Rzymie, na pamiątkę utraconej rok wcześniej narzeczonej.

Cyprian Kamil i ty... Jak wypadło porównanie? O sobie wiesz z pewnością więcej, wyrokować więc łatwiej. Osobiście znam tylko jednego Kamila (niedługo skończy piętnaście lat) i żadnego Cypriana. Czy wśród innych znanych mi wyrośnie ktoś taki, jak Cyprian Kamil?

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Nastolatki mają prawo rozmawiać o uczuciach

Wielu nastolatków pisze do Was o swoich kłopotach, w których (jak myślę) chcecie im pomóc. Niektórzy uważają, że te „nastoletnie problemy" są błahe i nieważne, iż nie powinno się o nich pisać, bo wzbudzają śmiech a nie współczucie. Jest to nieprawda. Nie słuchajcie tych wszystkich zarozumiałych ludzi, którzy mówią iż piętnastoletni (a nawet młodszy) człowiek nie może kochać. Otóż może, ale oczywiście w inny sposób niż człowiek dojrzały. Nie zaprzestawajcie więc swojej działalności i zamieszczajcie nadal listy moich zrozpaczonych rówieśników, którym lżej będzie na sercu nawet z tego powodu, że będą mieli się z kim podzielić swoimi troskami. Myślę, że moją wypowiedź, potraktujecie jako dalszy ciąg rozmowy nastolatków o uczuciach.

Anka

Miki nie ma ogona i jest bardzo śmieszny

Mam 10 lat. Chodzę do IV klasy. Bardzo lubię zwierzęta oraz bardzo lubię chodzić do lasu i do kina. Mam dwa psy. Jeden nazywa się Sułtan i mieszka w warsztacie, w którym pracuje tata, a drugi nazywa się Miki; nie ma ogona, jest bardzo mały i śmieszny. Jeśli ktoś chciałby przyjechać do mojego domu będzie mile widziany.

Emilka

OD REDAKCJI: Emilko, zgodnie z Twoją prośbą list drukujemy, ale bez adresu. Wyobraź sobie, co by to było, gdyby bardzo, bardzo dużo osób chciało przyjechać do Twojego domu! Z pewnością byłby to kłopot dla Twoich rodziców. Emilko, pozdrów od nas rodziców, pogłaszcz Sułtana i Mikiego, a jeśli pójdziesz do lasu, to w następnym liście napisz, co ciekawego w nim spostrzegłaś. (bs)

W internacie nie czuję się samotna

Mieszkam w internacie już drugi rok i nie czuję się tu samotna. W moim internacie mieszka ponad 300 dziewczyn, wcale nie ma chłopców. Wszystkie razem stanowimy jedną wielką rodzinę. Nikt nikomu nigdy nie odmawia pomocy. Dziewczyny chętnie pomagają sobie w nauce. Nigdy nie dochodzi do poważniejszych zatargów. Często organizujemy dyskoteki, podwieczorki, pogadanki na różne tematy (same zgłaszamy propozycje i szukamy odpowiednich osób, które udzielą nam pomocy). Każda z nas należy do jakiegoś kółka zainteresowań, a niektóre do sekcji działających w szkole i w internacie.

Mam 17 lat i nie czuję się samotna w internacie, wręcz przeciwnie – uważam, że beze mnie niektóre moje koleżanki nie mogłyby żyć. Chętnie pomagam dziewczynom w nauce. I wcale nie sądzę, że życie w internacie jest szare i smutne, jest kolorowe i ciekawe. Przecież niektóre z nas dopiero tu stały się samodzielne, nauczyły się wiele pożytecznego. Mimo że do domu mam zaledwie 40 km i mogłabym swobodnie dojeżdżać, to internatu nie chciałabym już opuścić. Przecież tutaj stale coś się dzieje (wyjścia do kina, biwaki, wyjazdy do opery, teatru). Całkowicie nie zgadzam się z Dianą (nr 29 „ŚM"). Myślę, że zmieni ona swoje zdanie po dłuższym pobycie w internacie. Uważam, że być wesołym i cierpliwym to najważniejsze. A więc uszy do góry, Diano!

Sandra Zalewska

Białostockie spotkanie z bajką

To więcej niż zabawa w teatr!

Najmniej ważne właściwie jest to, że nasze spotkanie z bajką odbyło się w Białymstoku na IV już Centralnym Przeglądzie Teatrów Lalkowych. Na co dzień te spotkania mają bowiem miejsce nie na deskach tamtejszego pięknego teatru, ale w znacznie skromniejszych warunkach wiejskich klubów Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch".

W mieście pierwszy kontakt z teatrem nawiązuje się wcześnie. Kilkulatki zaledwie prowadzone są przez rodziców do teatrów lalkowych. Na wsi jest, a raczej było, inaczej. Teraz gospodarze klubów – nauczyciele wiejscy – wyczuleni na potrzeby społeczności, w której żyją, a której do teatru profesjonalnego daleko – tworzą go po prostu sami. Rzadko są zawodowymi instruktorami. Dobrze, gdy uda im się odbyć choć niewielkie przeszkolenie na specjalnie organizowanych przez Zarząd Główny RSW warsztatach i kursach. Nie zawsze to jest możliwe, zwykle więc zaczynają od przysłowiowego zera.

NA POCZĄTKU JEST CHĘĆ SZCZERA

Opowiedzieli nam o tym członkowie zespołu teatrzyku „Tyci-tyci" z Kryniczna koło Wrocławia. Ich wrażenia są świeże, gdyż zaczęli działać zaledwie kilka miesięcy temu. Kiedy pani Urszula Gnap przywiozła do Kryniczna wzory wg których można było zrobić samodzielnie kukiełki, zdecydowali dosłownie w jednej chwili, że założą u siebie teatr. Chętnych nie brakowało i tak powstała ich grupa złożona z dwóch dziewczynek i siedmiu chłopaków. Szybko postanowili, że spróbują zainscenizować bajkę „Chatka, chałupeńka" – nie wymagającą wymyślnej scenografii, niedługą i zabawną. I tu zaczęły się problemy, a podstawowy – z czego zrobić tę nieskomplikowaną dekorację, no i lalki. Pół biedy chatynka – została po prostu pięknie wymalowana i wycięta z brystolu, ale co dalej?

W sukurs przyszła pani od zpt, która nie żałowała piątek za przynoszenie z domu niepotrzebnych fatałaszków i ścinków. Wkrótce kogut, lis, miś, myszka i żaba, szyte pracowicie z pomocą mam wieczorami, były jak żywe, tyle że tycie – tycieńkie. Cały teatr był wielkości dwóch bloków rysunkowych formatu A-4. Wprost miniaturka – ale cieszył. Drugi problem – jak grać, żeby było dobrze?... Szczęściem Wrocław niedaleko i jakoś udało się ściągnąć na jedną jedyną konsultację aktora z wrocławskiego teatru „Lalka" – pana Turskiego.

Darek-narrator wziął sobie do serca jego rady. Wyraźna dykcja, gesty, mimika – a z drugiej strony trzeba pamiętać, by nie odwracać uwagi widzów od scenki. Szczegóły dopracowywał sam.

Zaproszenie na przegląd zupełnie ich zaskoczyło. W ostatniej chwili powiększali dekoracje, szyli okazalsze lalki. Pełni tremy wyjechali, by stanąć w Białymstoku na prawdziwej scenie. Mobilizacja zaprocentowała. Udało się, tylko parawan okazał się zbyt ciemny, ale nie mieli przecież innego materiału... Zebrali moc pochwał, nie oni jedni zresztą. We wszystkich przedstawieniach wyraźny był ten zapał, entuzjazm, który jest już połową sukcesu. Ale przede wszystkim cieszy ich fakt, że udało im się usłyszeć tu kilka cennych rad od osób znających się na rzeczy, zobaczyć, że ich zabawa, choć zaledwie się zaczęła, już jest traktowana zupełnie poważnie. Nic więc dziwnego, że już w wiozącym ich do hotelu autobusie zaczęli snuć plany wizyt w innych gminach z sąsiedztwa, gdzie jeszcze lalkami się nie bawią.

AMATORZY I NOWINKI

Wszystkie amatorskie zespoły, które „pokazały się" w Białymstoku mają podobne trudności i podobną niezłomną wiarę, że będzie im się pracowało coraz lepiej. Mają też ogromną ambicję, by nie powielać, ale szukać własnych teatralnych rozwiązań. Zaczynają już od dobierania repertuaru – słabego punktu nawet zawodowych teatrów. Jeśli decydują się na inscenizację bajki znanej, klasycznej – starają się jak najbardziej odejść od stereotypu. Dlatego „Calineczkę" Andersena oglądaliśmy tu jako teatr kolorowych cieni, lalki w „Czerwonym kapturku" – przeboju tego spotkania przywiezionym z Lipy Łużyckiej – zrobione były z... balonów. Nawet „Jaś i Małgosia", jak się okazało, nadały się do uwspółcześnienia.

Pewien krytyk powiedział uczenie: *„Istnieje potrzeba nadania baśni walorów współczesności w miejsce prezentowanych przez nią dotychczas prawd oczywistych"*. Wiejscy lalkarze nie wyczytali tego w książkach, ale po prostu to czują. Dlatego pewnie na przeglądzie znalazła się „Dziura, czyli tajemnica pewnej pracowni naukowej" współcześnie napisana przez K. Perkowską baśń, w której na tle nowoczesnych, migających barwnymi światłami ekranów spotykają się poważni, ale nieco smutni i znudzeni naukowcy z Królewną, Królewiczem, Babą Jagą i Smokiem. I jedni i drudzy są sobą zafascynowani, bo czyż można wyobrazić sobie życie bez cienia fantazji? Pojawili się tu też naturalnie czworonożni bohaterowie historyjki M. Terlikowskiej „Dwa koty i pies trzeci", by spojrzeć wcale nie z pozycji grzecznych zagłaskiwanych zwierzątek, na śmiesznych Kowalskich, czyli właśnie nas. Znalazło się też obok lalek miejsce, by zatańczyć w ludowych strojach pięknego „chodzonego" w widowisku „Pod zielonym jaworem".

Ta rozmaitość to dowód nie amatorszczyzny, ale prawdziwego amatorstwa.

PO CO PRZEGLĄDY?

Zabrakło w Białymstoku atmosfery widowni prawdziwego teatru lalkowego. Nie szeleściły papierki od cukierków, a z ust zafascynowanych małych widzów nie wyrywały się pełne przejęcia okrzyki. Komu więc służył ten teatr?

Widzami byli sami aktorzy, ci którzy właśnie zeszli ze sceny i ci, którzy na nią za moment mieli wchodzić. Zamiast „ochów" i „achów" wymieniali więc między sobą cichutkim szeptem wcale nie naiwne uwagi: *powinien odejść z tą lalką w głąb, wtedy nie będzie widać kija*... itp. Każde potknięcie, niedociągnięcie było zauważane i zapamiętane, by uniknąć usterek we własnym spektaklu. Każda zasłyszana przypadkiem na sali uwaga jurorów, w czasie przerwy była przekazywana kolegom. Szlifowanie i wygładzanie trwało do ostatniej chwili a nawet dłużej. Na codziennych spotkaniach po przeglądach instruktorzy w najdrobniejszych szczegółach analizowali każde przedstawienie.

Okazja szkolenia, jaką było spotkanie z zawodowcami – Markiem Kotkowskim, aktorem białostockiego teatru, Stanisławem Ochmańskim – dyrektorem „Arlekina" z Łodzi, Ryszardem Kuryszynem – białostockim scenografem i z trzema instruktorkami lalkarstwa, została wykorzystana w pełni.

Warto w ten sposób wymieniać doświadczenia i „ładować" się pasją i entuzjazmem do dalszej twórczej pracy. To ważniejsze od nagród i wyróżnień.

W klubach RSW działa 1647 amatorskich zespołów lalkarskich, w których uczą się, bawią i pracują dzieci, młodzież i dorośli. Spotykają się wciąż w innym miejscu i w innej bajce. Zamiast im tego zazdrościć – trzeba do nich dołączyć.

EWA BIELSKA
Fot. **Marek Szymański**

Sempé i Goscinny

Mówiliśmy przez radio

Dziś rano w klasie pani powiedziała: *„Dzieci, chciałabym wam coś oznajmić. W ramach ankiety prowadzonej wśród młodzieży szkolnej gościć będziemy reporterów z radia, którzy przeprowadzą z wami wywiad"*.

Nie odpowiedzieliśmy nic, bośmy nie zrozumieli. Zrozumiał tylko Ananiasz, ale to nic dziwnego: jest przecież pupilkiem naszej pani i najlepszym uczniem w klasie. Więc pani wytłumaczyła nam, że tacy panowie z radia przyjdą zadawać nam pytania, że robią tak we wszystkich szkołach w mieście, a dziś wypada nasza kolej.

– *Liczę na to, że będziecie się zachowywali grzecznie i mówili inteligentnie* – powiedziała pani.

Zdenerwowaliśmy się jak nie wiem co, słysząc, że mamy mówić przez radio.

Pani musiała kilka razy uderzyć linijką w stół, żeby móc dalej prowadzić lekcję gramatyki.

A potem otworzyły się drzwi i do klasy wszedł dyrektor z dwoma panami, z których jeden niósł walizkę.

– *Wstać!* – powiedziała pani.

– *Siadać!* – powiedział dyrektor. – *Drogie dzieci, wielki to honor dla naszej szkoły, że gościć możemy radio, które czarodziejską mocą swych fal, dzięki geniuszowi Marconiego, sprawi, iż słowa wasze rozbrzmiewać będą w tysiącach domów. Pewien jestem, że docenicie ten zaszczyt i postawą swą udowodnicie, że nie brak wam poczucia odpowiedzialności. W przeciwnym razie, uprzedzam, wobec błaznów zastosuję surowe kary! Ten pan wyjaśni wam, czego od was oczekuje.*

Wtedy jeden z panów wyjaśnił, że będzie nas pytał o to, co lubimy robić, o to, co czytamy, i o to, czego uczymy się w szkole. A potem wziął do ręki jakiś przyrząd i powiedział: *„To jest mikrofon. Będziecie do niego mówić, wyraźnie i bez obawy. A dziś wieczór, dokładnie o ósmej, będziecie mogli siebie usłyszeć, bo wszystko to zostanie nagrane"*.

A potem ten pan obrócił się do drugiego pana, który na stole naszej pani otworzył walizkę z przyrządami i założył na uszy słuchawki. Zupełnie jak piloci w filmie, który widziałem, ale im wysiadło radio, a ponieważ była okropna mgła, nie mogli odnaleźć miasta, do którego lecieli, i spadli do wody. Był to naprawdę bardzo fajny film!

Pierwszy pan zapytał tego, co miał słuchawki na uszach:

– *Możemy zaczynać, Piotrusiu?*

– *Aha* – powiedział pan Piotruś. – *Zrób próbę głosu.*

– *Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... W porządku?* – zapytał drugi pan.

– *W porządeczku, Kiki* – odpowiedział pan Piotruś.

–*Doskonale* – ucieszył się pan Kiki. – *Który chce mówić pierwszy?*

– *Ja! Ja! Ja!* – zawołaliśmy wszyscy. Pan Kiki zaczął się śmiać.

– *Widzę, że mamy wielu chętnych. Będę więc musiał prosić panią, żeby wyznaczyła jednego z was.*

Na to pani oczywiście powiedziała, że trzeba zapytać Ananiasza, bo to najlepszy uczeń w klasie. Zawsze to samo z tym pupilkiem kurczę blade!

Ananiasz podszedł do pana Kiki i pan Kiki przysnął mu do ust mikrofon. Twarz Ananiasza była całkiem biała.

– *Dobrze, powiedz mi, mój mały, jak ci na imię?* – zapytał pan Kiki.

Ananiasz otworzył usta i nic nie powiedział. Więc pan Kiki chciał go ośmielić.

– *Nazywasz się Ananiasz, prawda?*

Ananiasz kiwnął głową, że tak.

– *Podobno* – powiedział pan Kiki – *jesteś najlepszym uczeniem w klasie. Chcielibyśmy usłyszeć, jak spędzasz wolny czas, jakie są twoje ulubione zabawy... No, śmiało! Nie trzeba się bać!*

Wtedy Ananiasz się rozpłakał, a potem zrobiło mu się niedobrze i pani musiała szybko wyprowadzić go z klasy.

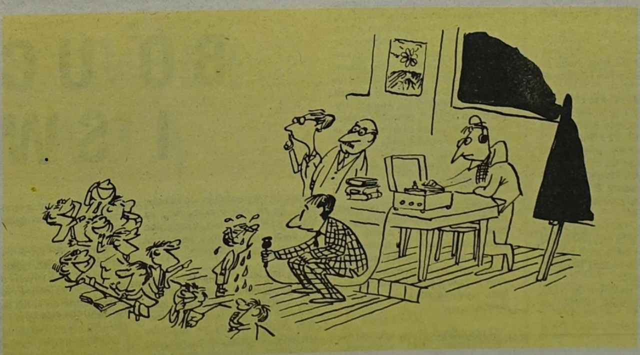

Pan Kiki otarł pot z czoła, spojrzał na pana Piotrusia i zapytał:

– *Czy jest pośród was ktoś, kto nie boi się mówić do mikrofonu?*

– *Ja! Ja! Ja!* – zawołaliśmy wszyscy.

– *Dobrze* – powiedział pan Kiki. – *To może ty, gruby, chodź tutaj. Tak... No to zaczynamy... Jak masz na imię, mój mały?*

– *Alcest* – powiedział Alcest.

– *Alszeszt?* – zapytał pan Kiki bardzo zdziwiony.

– *Proszę cię, bądź tak uprzejmy i nie mów z pełnymi ustami* – odezwał się dyrektor.

– *Kiedy właśnie* – wyjaśnił Alcest – *jadłem rogala, jak on mnie wywołał.*

– *Rog... Ładne rzeczy! Więc jemy na lekcji!* – krzyknął dyrektor. – *Ślicznie! Jazda do kąta! Porozmawiamy o tym później. Rogalik zostaw na stole.*

Więc Alcest westchnął ciężko, położył rogalik na stole naszej pani i poszedł do kąta, gdzie zaraz zaczął jeść drożdżówkę, którą wyciągnął z kieszeni spodni. Pan Kiki wycierał rękawem mikrofon.

– *Proszę im wybaczyć* – powiedział dyrektor – *są bardzo młodzi i trochę roztargnieni.*

– *Och! Jesteśmy przyzwyczajeni* – roześmiał się pan Kiki. – *Do naszej poprzedniej ankiety przeprowadziliśmy wywiad ze strajkującymi dokerami. Prawda, Piotrusiu?*

– *To były czasy!* – powiedział pan Piotruś.

A potem pan Kiki zawołał Euzebiusza.

– *Jak masz na imię, mój mały?* – zapytał.

– *Euzebiusz* – wrzasnął Euzebiusz, a pan Piotruś zdjął słuchawki.

– *Nie tak głośno* –upomniał pan Kiki. – *Po to właśnie wynaleziono radio, żebyśmy się mogli słyszeć na odległość bez*

DOKOŃCZENIE NA STR 7

GONIĆ MARZENIA

– Dopóki jesteśmy dziećmi, po prostu cieszymy się życiem. Natomiast kiedy zaczynamy myśleć o jego sensie, zastanawiamy się, co chcielibyśmy i co powinniśmy z tym życiem zrobić – zaczyna się dorosłość. Jestem właśnie na drodze do niej, mam już w sobie znaczną jej część. Dzieciństwo we mnie pozostało w formie szczątkowej.

Piotrek ma 17 lat. Od 14 miesięcy jest jednocześnie drużynowym i zastępowym. I czuje się co najmniej współodpowiedzialny za wychowanie swoich chłopców. A to przyspiesza dorosłość.

Ideał

– Drużyna wielopoziomowa – mówi Piotrek. – Zastępy wprawdzie pracujące oddzielnie, ale w jej ramach autentycznie zjednoczone. Ludzie w zastępach, dobrani w sposób naturalny, są idealnie bezinteresownymi, mogącymi na sobie polegać przyjaciółmi. Zastępowi, oddani sprawie harcerstwa i wychowania, doskonale rozumieją się między sobą ze swoimi chłopcami, a także i z drużynowym. A drużynowy jest po prostu dobry. Dobry, to znaczy taki, który wszystkich swoich harcerzy – bez względu na wiek, na to, co mają w głowie i jak się zachowują – uważa za bardzo dobrych przyjaciół. Dobry, to znaczy taki, który dąży do ideału, stale się doskonaląc, zdobywając wiedzę tak techniczną, humanistyczną, jak i pedagogiczną. Taki, który ma na swoich harcerzy wpływ, potrafi rozstrzygać spory, łagodzić konflikty, doradzić w trudnych sytuacjach. Jest dla nich autorytetem na równi z rodzicami. No i, na przykład, nawet w krańcowo trudnych warunkach potrafi przeprowadzić dobrą zbiórkę.

Piękne, prawda? Tyle że taka drużyna jest jeszcze daleko, daleko przede mną. Na razie widzę bardzo wyraźnie jej obraz i konsekwentnie do niego zdążam.

Jak jest

– Na to, aby drużyna była wielopoziomowa brak mi przywódców prawdziwych. Szukam ich, a znaleźć nieł wo.

Chłopcy w moim zastępie są złączeni na zasadzie konieczności, po prostu znaleźli się w nim po rozwiązaniu zastępów dawnych, jeszcze przed moim przyjściem. Mówię i czynię tak, by przekonać ich do braterstwa i przyjaźni, by wprowadzić nawyki, że to, co w grupie, jest wspólne. Ich kłopoty szkolne na ogół znam. Sercowe też. Zdarza się już, że zwierzają mi się i z problemów z samymi sobą. O ich sprawach domowych sam zagaduję przy okazji i też trochę o tym wiem. Ta wiedza pomaga w wychowywaniu.

Z notatek Piotrka

21.05.82 r. (...) Bartek – trzytygodniowa kara (zwolnienie ze zbiórek) za uderzenie dziewczyny i nieprzeproszenie jej.

25.09.82 r. (...) Wojtek nadal bardzo głupiutki i dziecinny.

23.10.82 r. (...) Najlepszy był Bartek – widać u niego wyraźną poprawę. Jest ambitny i coraz bardziej harcerski, mimo że wiele mu jeszcze brakuje. Mówił najmądrzej o Prawie Harcerskim, ale czasami miał takie wstawki jak „dać w pysk", „kopnąć w d..." Dziwne!

13.11.82 r. (...) Bartek jest coraz lepszy. Wojtek także był dobry. Staszek kłótliwy. Jasio O.K., gdyby jeszcze chodził na zbiórki... Z Jackiem trzeba będziemy porozmawiać, ma pewne wahania od dobrej normy. (W tym miejscu w zeszycie Piotrka wklejona jest kartka napisana przez Jacka o treści:

„...poproszę rodziców o przydział nowych obowiązków domowych, będę się słuchał rodziców, ciebie Piotruniu i innych przełożonych, będę pożyczał kolegom, co tylko będę miał i co w mojej mocy, nie będę się bił z nimi i przedrzeźniał ich, będę wypełniał wszystkie zadania mi powierzone i odrabiał na bieżąco lekcje").

18.12.82 r. (...) Dyscyplina była dobra. Jacek dopytuje się, kiedy wreszcie złoży Przyrzeczenie.

Pisane po zimowisku. Wojtek jest bardzo ambitny. Wie, że nic nie osiągnie i nie zdobędzie bez poprawy własnego charakteru. Rozumie konieczność pracy nad sobą. Chce dostawać zadania, aby móc je jak najprędzej zrealizować i zaliczyć. Mimo to nadal nie potrafi utorować swego zachowania. (Wklejona kartka z obietnicami Marcina: *„Przyrzekam nie oddawać innym, kiedy mnie zaczepiają, nie wtrącać się z głupimi słówkami, nie wydurniać się, nie kablować na innych, kierować się Prawem Harcerskim, nie spóźniać się na zbiórki, nie wyzywać innych od głupków, nie wprowadzać druha drużynowego w stan depresji"*).

Jurek mówi, że złapał wiatr w żagle „Zawiszy". Twierdzi, że atmosfera na zimowisku była dobra. Chciałby pojechać jeszcze raz, już teraz, zaraz. Dużo mi pomagał. Świetnie chodzi po górach. Nadal nie może pozbyć się krytykanctwa i ochoty do poprawiania innych.

Jacek nie spełnił ani trochę obietnic. Może na to za wcześnie. Do zadań się nie palił. Był leniwy i powolny, nadal niekulturalny. Słuchał mnie, ale bardzo opornie. Bić to się nie bił, ale bez przerwy z kimś kotłował, zwłaszcza z Bronkiem.

Bartek – brak widocznej poprawy. Leniwy i nieskory do dyscypliny. Zakochał się, być może dlatego tak było.

Staszek mimo początkowych smutnych i niemiłych zdarzeń, rozkręcił się i nabrał formy. Był grzeczny, zdyscyplinowany. Tylko, że zbyt przypadł mu do gustu przydomek „Sandurski", więc walczył ze wszystkimi wokoło.

Jasio był dużo gorszy niż na obozie. Leniwy jak Jacek i Bartek razem wzięci. Trzeba mu było po kilka razy powtarzać polecenia i prośby. Łatwo się obraża. Ma także zdolności do krytykowania innych za wszelką cenę (zwłaszcza Staszka). Zbyt dużo myśli o własnych przyjemnościach.

13.03.82 r. (...) Wojtek załamuje mnie, rzekłbym, że nadal jest beznadziejny i zachowuje się jak półgłówek. Skonam jak

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

ROZPOCZYNAMY W

„Moje dzieje to dziwna opowieść" – powiedział Sindbad Żeglarz – legendarny Arab i podróżnik, który jest – zdaniem autora relacji Tima Severina – zlepkiem postaci historycznych...

Sztorm rozpętał się o zmierzchu, nagle i nieoczekiwanie. Statek zakołysał się pod pierwszym uderzeniem wiatru i przechylił gwałtownie, obracając się burtą do wiatru. Morze zakotłowało się na pokładzie. Ludzie śpiący w kojach od strony nawietrznej zostali z nich wyrzuceni, ci na pokładzie chwycili się lin. Ciemności rozdarła oślepiająca błyskawica, która oświetliła załogę – skrzywione twarze, ręce zaciśnięte na linach, stopy wbite w górną część burty dla utrzymania równowagi, naprężone ramiona.

Postacie w turbanach na głowie wyskoczyły błyskawicznie z luku i pędziły po pokładzie z krzykiem, ale nie ze strachu, lecz z emocji i podniecenia. Doświadczone ręce przerzuciły rumpel i dziób statku spokojnie ustawił się pod wiatr, inne ręce zrefowały grot i bezan. Wśród huku fal i szumu deszczu statek wyrównał kurs i spokojnie popłynął naprzód, niby świetnie wytrenowany akrobata, który odzyskał utraconą równowagę.

Godzinę później minęliśmy strefę sztormu i takielunek naszego żaglowca przybrał jak zwykle swój elegancki wygląd na tle nieba pokrytego gwiazdami. Ponad moją głową wydymały się trzy wyraźne trójkątne żagle, każdy z purpurowym godłem: dwa przecinające się miecze i zakrzywiony sztylet.

Pomysł naszej wyprawy powstał trzy lata temu, kiedy to fascynował mnie inny legendarny żeglarz – mnich, św. Brendan. W latach 1976–77 z czteroosobową załogą wyruszyłem na łódce z drewna i skóry o długości 36 stóp z Irlandii przez Północny Atlantyk, aby udowodnić prawdopodobieństwo legendy św. Brendana. Sukces naszej wyprawy – pokonanie tej samej trasy na łódce, jaką płynął Brendan, pokazał, że legenda o Brendanie może się opierać na prawdziwych faktach.

Aż 400 mil włókna kokosowego skręcanego i zwijanego ręcznie poszło na związanie belek statku. Belki te zostały precyzyjnie ukształtowane za pomocą ręcznych narzędzi. Następnie wydrążono w nich 20 tys. otworów, które wypełniono wodoodporną mieszanką wapna i żywicy. Robotnicy pracujący wewnątrz kadłuba statku, za pomocą długich kijów, na końcu których przyczepiona jest szmata nasączona olejem roślinnym, konserwują włókna kokosowe

Myślę więc, że tak samo jest z Sindbadem Żeglarzem i że jego siedem wojaży opisanych w baśniach z Księgi 1001 nocy, oparte są na przeżyciach prawdziwych żeglarzy. Im bardziej zagłębiałem się w legendę Sindbada, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że był on po prostu postacią – zlepkiem arabskich kapitanów morskich i kupców, którzy zapuszczali się często poza granice znanego świata.

Postanowiłem więc odtworzyć podróże Sindbada. Przede wszystkim należało zbudować kupiecki statek arabski z tamtych czasów, odtworzyć trasę, którą przeżeglował Sindbad – 6000-milową podróż do legendarnych portów Chin. Miałem nadzieję, że to przeżycie, ten krok o 1000 lat wstecz pomoże nam zrozumieć jak Arabowie budowali i żeglowali statkami i jak powstały przygody Sindbada Żeglarza.

Jak wyglądał średniowieczny statek arabski? Ówcześni cieśle nie robili rysunków ani planów, gdy budowali statek. Rysunki pozostałe z tamtych czasów są stylizowane i niewiele mówią o praktycznym projektowaniu. Wcześni podróżnicy, a wśród nich Marco Polo, zanotowali, że przy budowie statków arabskich nie używano gwoździ, gdyż obawiano się, że wielkie magnesy na dnie morza wyciągają z nich gwoździe. Statki były więc w specjalny sposób zszywane sznurami z włókna kokosowego. W poszukiwaniu informacji na temat konstrukcji tradycyjnych statków arabskich odwiedziłem Sułta[nat]… nu, który ma znaczną trady… dziedzinie. W stolicy Maska… łem się z ministrem kultury… łem film o Brendanie i przed… w ogólnym zarysie projekt… śladami Sindbada. Jakaż b… radość, gdy okazało się, ż…

Pełne żagle, „Sohar" płynie…

pokryje całkowicie koszty z… nej kiesy sułtana: statek, zał… prawa i wszystko w imieni… z Omanu i świata arabskiego… mi się, że tu w Omanie baśnie… 1001 nocy jeszcze istnieją.

BO UCZNIO… I SWÓJ J…

Nie ma szkoły bez nauczyciela, nauczyciela bez ucznia, a ucznia bez szalonych pomysłów. W każdej klasie znajdzie się chociaż jeden taki, na którego poczucie humoru zawsze można liczyć. Ten klasowy rozśmieszacz jest niezrównany w robieniu kawałów swoim kolegom i nauczycielom. Humor uczniowski znajduje ujście również w charakterystycznym szkolnym języku. Umiecie bardzo trafnie, a zarazem zwięźle określać rzeczywistość. Za pomocą dosadnych i często szyderczych porównań chrakteryzować siebie i swoje otoczenie. Czasami nie zdajemy sobie sprawy, że wyrazy, z którymi zżyliśmy się, których używamy na co dzień, powstały w szkole, w czasie przerwy albo rozmowy na lekcji. Nowe powiedzenia rodzą się spontanicznie, zazwyczaj nieświadomie. Są szybką odpowiedzią na jakąś sytuację.

Gwara uczniowska jest pewnego rodzaju tajnym językiem, którego arkana poznaje się w czasie kilku pierwszch lat nauki. Każdy pierwszoklasista podziwia swoich starszych kolegów, którzy szpanują używając słów jeszcze dla niego niezrozumiałych, i usilnie stara się ich naśladować.

O początkach gwary szkolnej mamy niestety mało wiadomości. A z pewnością istniała, bo była szkoła i uczniowie.

Wiadomo tylko z dawnych czasów, że w XVIII wieku szkoła nazywana była bakalarnią, najlepszy student w klasie prezesem. Dobrzy uczniowie czyli radcowie i podradcowie odpytywali przed lekcjami słabszych i wstawiali im do kajetów noty. Za złe oceny skazywano na siedzenie w oślej ławce, w kozie albo na plagi (rózgi), które wymierzał stróż szkolny, czyli kanarek.

Mijały lata, zmieniał się wygląd uczniów, a i język, którym się posługiwali był coraz to inny. Nadszedł rok 1900. Teraz już nie chodziło się do bakalarni, ale do sztuby lub budy. Uczniów zaczęto nazywać sztubakami albo scyzorykami. Najważniejszą figurą w szkole był dyr, dyro, drek, dyrdas, dyrek, którego panicznie bały się bączki – czyli wstępniaki – uczniowie pierwszych klas.

Dziewczęta uczęszczały do prywatnych szkół żeńskich – na tzw. pensje. Nazywano je pensjonarkami albo sztubaczkami, a kierowniczkę – przełożoną – żartobliwie przełożonicią.

Ciężkie było życie ówczesnego sztubaka. Nie dość, że leje zaczynały się o ósmej rano i trwały do czwartej po południu, to jeszcze niektórzy biegli po budzie do korka (korepetytora), żeby przeleźć przez piec, przegramolić się do następnej klasy, czyli dostać promę – promocję.

A ile było nauki! Wystarczy wymienić tylko niektóre przedm… ta–łacina, niemiec, kacap, … francuski, polak, psiauro… psiabroda – przyroda, rysy – … kala – kaligrafia, arytma – ar… ka i gimna – gimnastyka.

Do tego wszystkiego … uczniak musiał dźwigać na … albo pod pachą knipsy, kniks… – książki w rańcu tj. cielaku … trze. Najwięksi szpanerzy wią… ksy paskiem.

Po kiepie, czyli czapce, mo… ło poznać, do jakiej szkoły uc… dzi. Za punkt honoru stawian… wybebeszenie czapki czyli p… nowanie, bo cwaniaka po… się po kształcie kiepy. Im b… była zniszczona, tym uczeń b… niejszy.

ELKĄ PODRÓŻ...(1)

Tim Severin i „Sohar" tropem Sindbada Żeglarza

Następny rok upłynął pod znakiem podróży, prac badawczych, negocjacji, umów, opóźnień i innych drobnych utrudnień – a wszystko to stopniowo posuwało sprawę naprzód. Sułtan miał prośbę, aby nasza podróż rozpoczęła się 23 listopada 1980 roku, podczas

Oceanie Judyjskim

uroczystości dziesiątej rocznicy jego rządów.

Na budowę statku wybrałem miasto przybrzeżne Sur w Omanie. Projektowania statku podjął się ten sam brytyjski konstruktor okrętowy Colin Mudie, który zaprojektował łódź Brendana. Znalezienie odpowiedniego materiału na budowę było niezwykle trudne, gdyż nadające się najlepiej do tego celu drewno tekowe nie mogło być wywiezione z Indii. Wybrałem więc drewno zwane „aini" bardzo podobne do tekowego. Wywieźliśmy z lasu ponad 140 ton bali drewna. Zakupiłem również 400 mil sznura kokosowego, a był to sznur szczególny – musiał być zrobiony z łusek orzechów kokosowych zbutwiałych w wodzie morskiej, następnie walono weń drewnianymi młotkami (żelazne osłabiłyby płótno), i na końcu przędzony ręcznie.

Wreszcie nastąpił ten uroczysty dzień, w którym spuściliśmy statek na wodę – mieszkańcy Omanu ubrani w odświętne szaty zebrali się, aby tańcem i śpiewem uczcić narodziny nowego statku.

Ostatnie tygodnie poświęcone były skompletowaniu odpowiedniej załogi. Przyjęliśmy ośmiu Arabów, wszystkich z niemałym doświadczeniem morskim, i dziesięciu Europejczyków. Wśród nich znajdowali się: trzej biologowie morscy, którzy zamierzali pobierać próbki flory morskiej i przeprowadzać testy na zatrucie środowiska, dwóch wyszkolonych nurków, radiotelegrafista, filmowiec nagrywający również dźwięk, fotograf i mój stary przyjaciel z wyprawy szlakiem Brendana – Trondour Patursson, artysta z wysp Faroe. I poza tym – ku naszemu strapieniu – członkiem załogi został kucharz Shanby. Zjawił się w ostatniej chwili i oświadczył, że umie gotować. Z wyglądu niechlujny, wiek nieokreślony, sprawiał wrażenie pewnego siebie. Zdecydowałem się przyjąć go, jeśli zda egzamin, tzn. ugotuje smaczny posiłek. Posiłek nie wyglądał zbyt atrakcyjnie, ale można go było zjeść, więc Shanby został przyjęty. Dopiero później okazało się, że mieliśmy jeść ten sam smętny posiłek przez większą część miesiąca.

23 listopada w Maskat zebrały się tłumy życzliwych nam entuzjastów. Obecny był minister kultury Omanu.

„Kurs południowy-wschód, aż stracimy ląd z oczu. Postawić żagiel" – wydałem polecenie, które Arabowie natychmiast wykonali. A po chwili zanucili melodyjnie: *„Płyńń z wiatrem, Allach ci pomoże"*. Ogromny żagiel zmarszczył się na chwilę, a potem rozwinął się swobodnie; odpływaliśmy.

W pierwszych dniach załapaliśmy północnowschodni monsum z Indii i żeglowaliśmy po Morzu Arabskim z szybkością ponad 4 węzłów. Życie na statku przybrało swój zwykły rytm. Nasz dzień zaczynał się o świcie modłami Arabów, potem było śniadanie składające się z chleba i naleśników.

Gdy oddaliliśmy się 300 mil od Maskat, zacząłem eksperymentować z technikami arabskimi, dzięki którym Arabowie określali swoją pozycję na morzu. Podstawowy instrument nawigacyjny był genialnie prosty. Nazywał się „kamal" i stanowił go po prostu drewniany prostokąt, przez który był przyciągnięty sznurek z supełkami. Kamal umożliwiał zmierzenie kąta gwiazdy północnej nad horyzontem i stąd obliczenie jego szerokości geograficznej. Używając tego „kompasu" domowej roboty udało mi się ustalić położenie „Sohara", myląc się tylko o 30 mil.

Robiliśmy 80 mil na dobę. Obawiałem się, czy Europejczycy nie będą się nudzić. Byli to w końcu młodzi, aktywni mężczyźni, w większości nie mający dużego doświadczenia na morzu. Codzienne czynności nużyły ich, jedzenie Shanbiego było dla nich nie do strawienia. Przeciwnie Arabowie – ci łatwo dostosowali się do rytmu życia na statku: gawędzili, śpiewali tradycyjne pieśni, łowili ryby, drzemali. A drzemać mogli wszędzie – najczęściej w ochronie przed słońcem zakrywali sobie twarze zdjętymi z głowy turbanami i spali. Ale do pracy przystępowali ochoczo. Zwyczaj Arabów śpiewania przy pracy rychło udzielił się Europejczykom. Wtórowali im, klaskali w ręce, przytupywali nogami i rytmicznymi okrzykami czynili pracę znacznie lżejszą. Był to dla mnie widomy znak, że załoga czuła się ze sobą dobrze.

W pobliżu Kalkuty na Wybrzeżu Indyjskim zmieniliśmy kucharza, gdyż Shanby fatalnie wywiązywał się ze swoich kulinarnych obowiązków. Nowy kucharz Ibrahim – znudzony pracą biurową urzędnik – okazał się nadzwyczajny.

DOKOŃCZENIE W NASTĘPNYM NR.

Na podstawie tekstu TIMA SEVERINA w National Geographic opracowała
MAŁGORZATA WIŚNIEWSKA
Fot. **National Geographic**

IE NIE GĘSI
ZYK MAJĄ

Do budy tak jak i teraz jeździło się trombikiem, albo bambajem (tramwajem). Zamożniejsi wynajmowali dryndę albo sałatę (dorożkę). Golec, pętelewicz, czyli biedak, musiał chodzić per pedes czyli pieszo.

Czasem taki podróżnik mylił drogę zamiast w budzie lądował w parku. ...m już kilku pikusiów, tzn. wesołków, zabawiało się w salonowca albo berka. Mieli szczęście, gdy udało ...m się wypatrzeć gęsiarnię (pensję na spacerze), a bury (stróż) nie wygonił ich z parku. Nieraz udawało się dostać do kintopa, kiniaka, czy ...y (kina) na jakąś komedię. Nie ...dy jednak miał odwagę dymnąć ...lei. Podczas gdy wagarowicze wylegiwali się na ławkach w blasku jesiennego słońca, ich porządni koledzy siedzieli w budzie i czekali na upragnioną pauzę, która niestety zbyt szybko mijała i znowu trzeba było się obkuwać. Kiedy jednak belfer się uwziął, nic nie pomagało rycie i wpadała jedynka czyli cep, dyl, kic, foka, kiks, knot, koc, koło, koń, lufa, pałka, pałyda, prztyk, snop, sztyk. Trzeba było mieć wielkiego pecha, żeby spotkała kogoś tryna – wydalenie ze szkoły.

Po lejach większość biegła w dyrdy, czyli biegiem, pod pensję, żeby choć puścić oko do swojej wymarzonej. Później jeszcze repcie z maluchami – korepetycje z młodszymi, odwalenie swoich lei i czas wolny. Jednak nie zawsze był on miły, bo zdarzały się przykre rozmowy z fatrowskim na temat dzienniczka, po których zwykle odechciewało się wszelkich rozrywek. Te gorzkie chwile osładzała mutra – mama, która dodawała „za karę" do kolacji pyszne ciacho.

Ci, którym udało się uniknąć wczesnego capstrzyku, czyli pójścia do łóżka, wymykali się do teatru. Ponieważ kamizelkowe (kieszonkowe) nie zawsze starczało na bilet, przed studentem stało ciężkie zadanie zapolowania na tygrysa, czyli ominięcia biletera, w drodze na paradyz, jaskółkę tj. galerię. W ten sposób udawało się być na przedstawieniach nawet 34 razy w miesiącu.

Lecz to jeszcze nie koniec wrażeń, bowiem nadchodziła noc, a wraz z nią koszmarne sny. O czym? Oczywiście o szkole, o niespodziewanej wyrywce z matmy, indyku z polaka i wykryciu dymki z lei.

I teraz uczniowie pędzą do budy, by narażać się na magiel albo wałkowanie i co najgorsze obrywać banie, lufy, lachy i cwaje. Dlatego wcale nie tak trudno zarobić na miano durnia, barana, betona, chociaż może lepsze już to od opinii mrówy czy kujona. Nic więc dziwnego, że zrywki z bajb zdarzają się coraz częściej, bo to dopiero jest bażancie życie – szlugiem sztachnąć się można i z laskami ponawijać. A jeżeli zdarzy się że zgredzi wyszli, no to wali się banda na chatę. Kwadrat odwapniony – znaczy się luz i balanga. Gorzej tylko, gdy następnego dnia nadciągają czarne chmury i kratkowane męczarnie z maty, fizy albo bioli. Pod czachą pusto, a starym trudno wytłumaczyć, że belferstwo zawzięte i okrutnie nie lubi zżynania. Łatwiej wyjdzie z opresji ten, kto lepiej bajeruje. Inaczej wapniacy zakładają kaktusowi szlaban na gary no i na szmal, co ważniejsze. Można od tego wszystkiego uderzyć w kalendarz.

Długo by można tak truć, ale po co nawijać makaron na uszy.

No to szufla!

ELŻBIETA SIDORKIEWICZ
JOLANTA TOMALA

GONIĆ MARZENIA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

tak dalej pójdzie. Jedynym bodźcem dla niego może być Przyrzeczenie Jacka. Może to go zachęci do zmiany zachowania. Rozmawiałem (!) po zbiórce z mamą Jacka. Mówiła dużo i chyba szczerze. Popiera mnie w działaniu. Prosi zarazem o pomoc. Uradowała mnie mówiąc, iż powinienem stanowić dla Jacka wzór. Różnie z tym bywa.

9.04.83 r. (...) Było całkiem dobrze. Bez żadnych negatywnych zachowań. O.K.

23.04.83 r. Jasio znalazł kilka ciekawych hub. Zapytałem, czy weźmie je ze sobą, czy przekaże do skarbca zastępu. Wziął sobie. To już druga taka sytuacja. Muszę zaradzić jakoś temu egoizmowi, który akurat u niego występuje w najcięższej postaci. Dobry przykład już daję. Trzeba teraz zaprezentować moje zbiory i powiedzieć im o tym gawędę. Może coś zrozumieją.

8.05.83 r. (...) Muszę bardziej przycisnąć Jacka. Z Bartkiem trzeba jeszcze porozmawiać – nadal trwała zła passa z rajdu. Jurka zapędzić do prac fizycznych. Wojtka wziąć pod swoje skrzydła. On najbardziej potrzebuje mojej pomocy. Najłatwiej może „odfrunąć".

Zmaganie się ze sobą

– Nie mogę żądać od nich tego, czego sam nie potrafię. No więc i ja pracuję nad sobą. Jak dotąd udało mi się sprawić, że odczuwam obowiązek robienia czegoś u siebie w domu. I nieswojo mi jakoś nawet, jeśli w ciągu dnia nie pozmywam, nie posprzątam. W szkole nie zrzynam już... prawie wcale. Szpetne przekleństwa tylko sporadycznie wystrzelają mi z ust. Próbuję wstawać co dzień o 6.00 rano, myć się zimną wodą. Po co? Żeby walczyć ze swoimi słabościami. Tak jak choćby z łakomstwem. Przyzwyczajony jako jedynak do tego, że smakołyki zżerałem sam, teraz co najmniej połowę staram się zostawić dla mamy. Itd., itd. Chłopcy też mnie wychowują. Choćby wtedy, kiedy dostosowuję się do ich autentycznych potrzeb, będących nawet trochę na bakier z moim pierwotnym planem. Jeśli mój jest faktycznie lepszy – dają się przekonać, jeśli lepszy jest ich – ulegam. Coraz częściej potrafię już dostrzegać i przyznawać, że czyjeś pomysły są lepsze od moich. I nie okazuję zazdrości, ba, nawet jej nie czuję. To wpływ i zasługa moich chłopców.

Rodzice – partner niezbędny

– Co to za drużynowy bez poparcia rodziców? No więc nie zapominam o współpracy z nimi. Nie mogą zostać obojętni. Muszą być przekonani, że harcerstwo ich dzieciom nie szkodzi, a jedynie im pomaga. Byłem już w pięciu domach harcerzy z mojego zastępu. Jednych rodziców musiałem uświadamiać od podstaw, czym jest harcerstwo, inni wiedzieli już „jak to się je", więc mogliśmy pogadać konkretnie o zastępie, o ich dziecku. Niektórych rodziców po tych wizytach jeszcze bardziej polubiłem za to, że rozumieją, że chcą współpracować, że traktują mnie jako partnera w wychowywaniu (telefon od jednej z matek: „Druhu, niech druh jakoś namówi syna, żeby się przygotował do klasówki. Mnie słuchać nie chce, druha posłucha na pewno!"). Trafiłem też i tak, że matka, nie argumentując, otwarcie stwierdziła, iż nie cierpi harcerstwa, ale skoro syn tak bardzo chce... Nie uwierzyła, że jej jedynak, który chodzi w domu „jak w zegarku", potrafi być wobec kolegów zgryźliwy, niesympatyczny, dokuczliwy. Nie zaakceptowała mojego poglądu, że nasza współpraca potrzebna jest po to, aby chłopak był dobry wszędzie. Tak więc natrafiłem już i na „opozycję". Ale w dalszym ciągu uważam za swój obowiązek opowiedzenia rodzicom o tym, jakimi znam ich dzieci ze zbiórek czy obozów, w odróżnieniu od tego, jakie są w domu.

Ideałem wychowania byłaby współpraca domu, szkoły i harcerstwa. Do nauczycieli moich chłopców niestety jednak jeszcze nie dotarłem. Problemy czasowe: kiedy wracam ze szkoły, ich już w szkole nie ma.

Wahania i... pewność

– Zdarza się, że dobrze zaplanowałem i przygotowałem zbiórkę, a jakoś podczas jej trwania „nie czuję bluesa", jestem zmęczony, nawet zniechęcony do nich. Wylatują mi z głowy takie ważne elementy jak gra, jak śpiewanie. Zbiórka jest nudna, denna. Na następną powinni w ogóle nie przyjść. Ja bym nie przyszedł. Ale oni są. Jakoś nie przeraża ich też i to, że w naszym dziewięcioosobowym zastępie tylko dwóch z nas ma złożone Przyrzeczenie Harcerskie. Ostatnio znów odłożyliśmy Przyrzeczenie Jacka – po uprzedniej naradzie z nim i z jego mamą – stwierdzając, że jeszcze na nie za wcześnie, jeszcze nie dorósł. Posłuszeństwo Prawu Harcerskiemu, niesienie pomocy bliźniemu, służba Polsce to – nawet dostosowując wymagania do ich wieku i możliwości – niemało, jeśli się chce móc uczciwie powiedzieć, że się to wszystko spełnia. Ale zrezygnować nam z tego nie wolno. Chyba już to zrozumieli i zaakceptowali moje wymagania.

A ja? Ja bywam czasem wręcz przerażony widząc rozziew między ideałem, do którego dążę, a tym jacy jesteśmy: ja i moja drużyna. Szczęście, że chwile załamania, wątpliwości, czy w ogóle się do tej pracy nadaję, nie trwają długo. Jestem optymistą. I wierzę, że się uda.

Uważam, że to wszystko w kupie pomoże mi w życiu. Jak? Będę uczciwy, chyba dobry i będę czynił dobrze. I może razem z moimi chłopcami będziemy stanowić kiedyś najlepszy przykład na to, że „kto harcerzem – na zawsze harcerzem".

Spisała **EWA KOSIŃSKA**

GWIAZDOZBIÓR Między innymi CARRIE FISHER czyli księżniczka sci-fi

1. Oto statek Hana Solo – Sokół Milenium. Niszczyciel gwiezdny ma w tym wydaniu zaledwie 45 cm długości. Jest oczywiście wyposażony w ruchomy właz i kabinę pilota, armatki, anteny radarowe. Do tego dodane są figurki Hana Solo, Chewbacci'ego i Luke'a Skywalkera.

2. Tak wygląda pojazd bojowy Rebeliantów, który Luke pikował w kierunku minimalnej przerwy w polu siłowym olbrzymiego statku Imperium. „Siła była z nim". Nosi on nazwę, Angel Interceptor.

3. Model niszczyciela Imperium dowodzonego przez Dartha Vadera ma 43 cm długości. Oczywiście również ma precyzyjnie odtworzone wszelkie urządzenia bojowe i świetlne.

4. W Polsce nazywamy te wydające się na ekranie gigantami roboty w kształcie groźnych potworów – śnieżnymi łazikami. Jak pamiętacie zostały one użyte przez siły Imperium przeciwko Rebeliantom na planecie Toth. W tym wydaniu mają 20 cm wysokości. Gdyby ich nazwę przetłumaczyć dosłownie, brzmiałaby: niszcząco-terenowe pancerne transportowce.

5. Foliowy daszek imitujący mgły planety Dagobah pokrywa powierzchnię zaledwie 25 cm. W środku mędrzec Yoda udziela pierwszej lekcji Lukowi. Na zewnątrz czeka Artoo-Detoo.

Dziś to miejsce w gazecie wykorzystujemy nieco inaczej niż zwykle, bo-i okazja jest wyjątkowa. Poświęcamy je spełnieniu życzeń najmłodszych kinomanów. Będzie więc o tytułowej księżniczce i... zabawkach.

● **Carrie Fisher** – jak na reklamę gwiezdnej serii filmów Lucasa, jej podobizny w prasie pojawiają się rzadko, a jeszcze rzadziej informacje na jej temat. Dlaczego? Jest aktorką młodziutką – zaledwie dwudziestoletnią i poza księżniczką Leią nie ma na swym koncie dosłownie żadnych ról. Leię z „Gwiezdnych wojen" i „Imperium kontratakuje" widzowie polubili. Jest przecież sympatyczna, dzielna i dobra. Jej kreatorka na pochwały krytyki musi jednak jeszcze zaczekać do momentu, kiedy wykaże się talentami aktorskimi w bardziej skomplikowanej i mniej jednoznacznej roli. Scenriusze tych filmów nie dają jej bowiem zbyt wielkiego pola do popisu. Na razie o Carrie można powiedzieć niewiele. Jest córką aktorki Debbie Reynolds – popularnej z komedii w latach pięćdziesiątych i Eddie Fishera – piosenkarza, który rozwiódł się z Debbie, aby poślubić Elizabeath Taylor. Nie na długo, bo w trakcie realizacji „Kleopatry" z kolei Taylor rozstała się z nim, by wyjść za Richarda Burtona. Eddie w trakcie swojego krótkiego małżeństwa z wielką gwiazdą – zagrał kilka niewielkich ról w filmach z nią.

Rola Lei przyniosła nazwisku Fisher popularność. Czy na długo? – Czas pokaże... Na razie Carrie nawet w życiu strojem i fryzurą stylizuje się na księżniczkę Leię.

● Techniczne cudeńka z gwiezdnej serii Lucasa są już na Zachodzie masowo produkowane jako... zabawki. Są wiernymi zewnętrznie kopiami tych filmowych. Ich zestwy, firmy Airfix, dają się składać bez użycia kleju. Na razie możemy Wam zaprezentować tylko ich fotografie. Ale w przyszłości może zostaną sprowadzone i do Polski, a wtedy nie będzie stało nic na przeszkodzie, by na domowy użytek, ile razy się zechce, odtwarzać najpiękniejsze sceny filmów – czego Wam szczerze życzymy.

(eb)

COŚ CAŁKIEM ZWARIOWANEGO

Przede wszystkim trzeba dorwać worek. Taki całkiem zwyczajny, od kartofli. Uprać kilkakrotnie i bardzo dokładnie, wysuszyć (najlepiej na słoneczku i na wietrze), uprasować i... zabrać się do szycia przebojowej jakiejś szaty. Spódnicy, sukni całej, kamizeli... obojętne. A jeśli worek był trochę podniszczony, wystrzępiony, to tym lepiej – szata owa ma być bowiem zgrzebna. W tym jej największy szyk. Szmata to ma być nie w przenośni, a w dosłownym znaczeniu. Workopodobne, ścierkopodobne rzeczy ogromne mają teraz wzięcie. Poza tym mają to być rzeczy luźne, obszerne. I ma ich być dużo. Sukienka, na sukienkę jakaś bluza, na bluzę kamizela, a na to wszystko jeszcze na przykład chustka. Oczywiście ilość tych rzeczy, które się na siebie włoży, zależy również od pogody, wiadomo, że w upał będzie ich mniej niż w dzień wietrzny i deszczowy. Ale zawsze, niezależnie od tego, ile by ich było, mają sprawiać wrażenie jakiejś takiej... składanki śmietnikowej.

Materiały, z których te rzeczy się szyje, to tylko i wyłącznie włókna naturalne i to w ich najprymitywniejszej wręcz postaci – np. właśnie ten wspomniany worek, to wcale nie żart. Kolorystyka całości również... ścierkopodobna. Króluje kolor, który nazwałabym... kolorem workowym właśnie i wszystko, co od niego pochodne – a więc brudne beże, bardzo jasne brązy, kolor oliwkowy, ale raczej w wersji jaśniejszej niż ciemniejszej, kolory rudawe oraz przytłumione (przybrudzone jakby) czerwienie.

Nosi się to wszystko z nonszalancją, na luzie całkowitym, ale... z głową podniesioną do góry. Bo to jest modne, bo to jest nowe, bo tego jeszcze nie było, a więc ktoś, kto tak się nosić będzie, ma pełne prawo się czuć, że znajduje się (w dziedzinie ciuchowej oczywiście) w tym momencie w ścisłej czołówce.

Nie jest to oczywiście styl, który by pasował na wytworne przyjęcie wydawane przez następcę tronu księstwa Monaco, ale w warunkach wakacyjnych nadaje się na wszystkie okazje – od rana do wieczora. Jest to poza tym moda praktyczna bardzo w warunkach obozowowyjazdowych – zgrzebne burasy nie wymagają takiej troski jak np. delikatna bluzeczka z białego batystu. Mniej na tym znać brud, a że coś jest pogniecione to... tak właśnie być powinno. Więc rzecz to na pewno niewygodna, a że mocno zwariowana..., cóż to komu szkodzi, nieprawdaż?!

RIUSZKA

Mówiliśmy przez radio

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

podnoszenia głosu. Zaczynamy od nowa... Jak masz na imię, mój mały?

– Euzebiusz, przecież już panu mówiłem...

– Ależ nie – tłumaczył pan Kiki. – *Nie trzeba mówić, że już mi mówiłeś. Pytam cię o imię, ty mi je mówisz, i to wszystko. Gotowe, Piotrusiu! No to zaczanym... Jak masz na imię, mój mały?*

– Euzebiusz – odparł Euzebiusz.

– Przynajmniej nie zapomnimy – zachichotał Gotfryd.

– Gotfryd, za drzwi! – krzyknął dyrektor.

– Cisza! – wrzasnął pan Kiki.

– Ej! Uprzedzaj, jak krzyczysz! – powiedział pan Piotruś, który zdjął słuchawki.

Pan Kiki zasłonił sobie ręką oczy, poczekał chwilę, opuścił rękę i zapytał Euzebiusza, w jaki sposób lubi spędzać wolny czas.

– Strasznie lubię grać w nogę – zaczął Euzebiusz. – *Wszystkich biję na głowę...*

– Nieprawda! – zawołałem. – *Wczoraj byłeś bramkarzem i przyładowaliśmy ci porządnie.*

– No! – powiedział Kleofas.

– Rufus odgwizdał spalonego! – krzyknął Euzebiusz.

– No jasne – powiedział Maksencjusz. – *Grał w twojej drużynie. Zawsze mówiłem, że zawodnik nie może być jednocześnie sędzią, nawet jeżeli ma gwizdek.*

– Chcesz dostać w nos? – zawołał Euzebiusz, a dyrektor za karę kazał mu siedzieć w szkole w czwartek, kiedy nie ma lekcji. Wtedy pan Kiki oświadczył, że nagranie skończone, pan Piotruś zapakował wszystko z powrotem do walizki – i obaj sobie poszli.

A wieczorem o ósmej oprócz taty i mamy byli u nas państwo Bledurt, państwo Courteplaque, nasi sąsiedzi, i pan Barlier, który pracuje w tym samym biurze, co mój tata. Był też wujek Eugeniusz. Wszyscy usiedliśmy wokół radia, żeby posłuchać, jak będę mówił. Bunię zawiadomiono za późno i nie mogła przyjść, ale słuchała radia u siebie razem z kilkoma przyjaciółmi. Mój tata był bardzo dumny i co chwila gładził mnie ręką po włosach, mówiąc: *„He, he!”* Wszyscy byli bardzo zadowoleni.

No i nie wiem, co się stało w tym radiu. O ósmej była tylko muzyka!

Najbardziej było mi żal pana Kiki i pana Piotrusia. Musiał ich spotkać straszny zawód!

To zabawne opowiadanie pochodzi ze zbioru wspaniałych historyjek o przygodach Mikołajka i jego kolegów, wydanych w książce pt. „Mikołajek i inne chłopaki”. Kupić jej dziś nie sposób, ale pożyczyć w bibliotece – warto koniecznie...

Perspektywy przyszłości

Motto:

„Nie ma żadnych naukowych przesłanek, które pomogłyby nam przewidzieć, co ludzie zrobią w przyszłości, jak się rozwiną ludzkie społeczeństwa i jakie idee będą wpływać na decyzję przyszłych pokoleń.”

Hoimar von Ditfurth

Kol. M. Wasiak przedstawia dziś wizję rozwoju ziemskiej cywilizacji mniej więcej do połowy przyszłego wieku. Jest to zabawa nieszkodliwa i chyba tak stara jak ludzkość. Przepowiadaniem przyszłości zajmowano się bowiem już w starożytności (słynna grecka Pytia), robimy to także i my, współcześni. I chociaż przepowiednie rzadko się sprawdzają, jest chyba ludzką potrzebą by się nimi zajmować.

PREZES

Futurologia (nauka zajmująca się przepowiadaniem przyszłości) jest coraz bardziej popularna, choć jedni traktują ją jako dobrą zabawę, a drudzy poważnie. Faktem jest, że uczeni dość rzadko dają się namówić na rozważania dotyczące przyszłości świata, nauki i techniki. W pewnym stopniu udało się to amerykańskiemu miesięcznikowi „Science Digest”, który przytoczył właśnie takie hipotezy. Ich autorami jest dziewiętnastu wybitnych uczonych różnych specjalności z różnych krajów świata m.in. USA, ZSRR i Francji.

A oto ich hipotezy:

Rok 1985: – Około 13 proc. światowej produkcji energii będzie pochodziło z elektrowni atomowych.

Lata 1990–2000 – Amerykański program „Space Shuttle” umożliwi wyniesienie z pomocą tzw. promów kosmicznych 10 tys. ton materiałów i 2000 ludzi w okolice punktu między Ziemią a Księżycem, gdzie znoszą się siły przyciągania obu ciał niebieskich. Część tych surowców wydobyta zostanie spod powierzchni naszego satelity. Sześciokrotnie mniejsza niż na Ziemi siła księżycowego ciążenia zmniejszy koszty zarówno otrzymywania jak i wysyłania surowców w przestrzeń kosmiczną.

– Eksperymenty genetyczne umożliwią implantowanie zwierzętom ludzkich komórek. W laboratorium prowadzone będą intensywne prace nad otrzymaniem pierwszych prymitywnych form życia.

Początek XXI wieku: – Na orbicie okołoziemskiej powstanie dziesięciotysięczna ludzka kolonia kosmiczna. To miasto w przestrzeni zbudowane zostanie w kształcie koła lub cylindra, którego obrót wytwarzać będzie sztuczną grawitację – mniejszą niż na Ziemi. Odrębne części – mieszkalna, przemysłowa i rolnicza będą miały kontrolowany klimat. Koszt budowy kosmicznej kolonii zwróci się dzięki zainstalowaniu na niej elektrowni słonecznych, przetwarzających energię promieniowania naszej gwiazdy i przesyłających ją na Ziemię w postaci wiązek mikrofal. Mieszkańcy orbitalnego miasta podejmą budowę następnego takiego obiektu.

Oto jeszcze jedna wizja przyszłości – budowa księżycowego miasta na naszym naturalnym satelicie

Rys. **Al. Leonow i A. Sokołow**

Rok 2010: – Bogate w energię cząsteczki wodoru pozyskiwane będą bezpośrednio z wody i światła słonecznego; wodór ten będzie mógł być wykorzystany jako paliwo oraz surowiec chemiczny.

– Nastąpi próba założenia pierwszej kolonii ziemskiej na Marsie. Mogą być przedsięwzięte zmiany w jego atmosferze, które uczynią środowisko tej planety w pewnym stopniu dostosowanym do potrzeb ludzkiego organizmu.

Rok 2020: – Człowiek będzie w pełni kontrolował pogodę.

Rok 2030: – Zacznie funkcjonować czwarta z kolei kosmiczna kolonia-gigant, w której zamieszka wiele milionów ludzi.

Rok 2040: – Być może nawiązany zostanie pierwszy kontakt z pozaziemską cywilizacją jednej z planet innego systemu gwiezdnego naszej Galaktyki. Z uwagi na ogromną odległość, wiadomości biec będą całe lata. Upłynie 30–50 lat od pierwszego kontaktu, zanim obie cywilizację zdobądą o sobie nawzajem podstawowe informacje.

Rok 2050: – Rozwój energetyki termojądrowej umożliwi budowanie rakiet kosmicznych, szerzej udostępniających długie podróże przez system słoneczny.

Rok 2060: – Zindywidualizowana zostanie publiczna komunikacja, małe kontrolowane i prowadzone przez komputer pojazdy zawozić będą każdego, gdziekolwiek zechce.

Wiek XXI: – Stale zwiększać się będzie długość ludzkiego życia; wiele uwagi poświęci się kształceniu dorosłych, by podtrzymywać sprawność umysłową i siły twórcze człowieka.

– Zaakceptowany zostanie rząd światowy jako jedyna droga uporania się z problemami dotyczącymi całej planety.

– Niebezpieczne eksperymenty technologiczne, między innymi z zakresu genetyki i fizyki jądrowej, przeprowadzone będą w przestrzeni kosmicznej, by nie zagrażały mieszkańcom Ziemi. Poza planetą będą również lokalizowane fabryki i inne zakłady zanieczyszczające środowisko naturalne.

– Możliwe będzie skonstruowanie indywidualnych miniaturowych nadajników i odbiorników; można będzie wykorzystywać nieograniczoną liczbę kanałów TV i łączności radiotelefonicznej bez obawy zakłóceń.

– Elektroniczne kalkulatory będą drukowały dyktowany im tekst, dokonując równocześnie wszelkich niezbędnych poprawek gramatycznych, a także tłumacząc go na dowolny język...

Przedstawione hipotezy nie są odosobnione, powstało ich wiele. Niektóre różnią się między sobą, inne są też do siebie podobne. Łączy je jednak jedno: gwarantują, iż przyszłością człowieka jest kosmos.

M. Wasiak
czł. PTMA i KMA „Hadar”
ul. Polgrima 7/1, 82-300 Elbląg

OGRANICZENIA OBSERWACJI ASTRONOMICZNYCH

12 IV 1981 roku wystartował w swój pierwszy lot amerykański kosmolot Space Shuttle „Columbia”. Od tej pory sprawa wynoszenia poza obręb atmosfery ziemskiej teleskopów stała się co najmniej o wiele łatwiejsza. Ale większość ludzi zajmujących się amatorsko obserwacjami nieba nadal będzie je obserwować z Ziemi. Z nimi to chciałbym podzielić się cennymi uwagami mogącymi pomóc w wyborze miejsca na obserwatorium. Przeciętny astronom-amator podejmuje obserwacje z zakresu widma światła widzialnego. Do tego celu służy mu teleskop lub luneta, może nawet zwykła lornetka. Otóż przy wyborze miejsca na obserwatorium amator taki musi uwzględnić możliwość burz piaskowych (w naszym klimacie to się rzadziej nie zdarza) a także unikać dużej wilgotności powietrza, zanieczyszczeń przemysłowych atmosfery, rozproszonych świateł wielkich miast itp. Jeśli chcemy obserwować obiekty słabe jak np. NGC 0224 (galaktyka Andromedy) to nawet światło Księżyca w pełni może nam przeszkadzać.

Najwięcej kłopotu sprawia migotanie gwiazd czyli tzw. turbulencja powietrza. To jest już od nas niezależne, a zaradzić temu można dokonując obserwacji próbnych w wielu miejscach. Powinny to być stosunkowo długie okresy obserwacji gdyż inaczej możemy narazić się na niemiłe niespodzianki. Wybieramy miejsce gdzie turbulencja jest najmniejsza. Trzeba również uwzględnić absorpcję atmosferyczną, czyli pochłanianie promieniowania przez atmosferę Ziemi. Światło widzialne i bliska podczerwień przechodzą bez problemu przez atmosferę.

Natomiast ci, którzy zajmują się radioastronomią, poza uwzględnieniem wyżej podanych czynników, powinni coś szerzej wiedzieć o absorpcji dla innych fotonów niż fotony światła widzialnego. Fotony o fali krótszej od 3000 Å nie dobiegną nigdy do powierzchni Ziemi, w przedziale 3000–35 000 Å w zasadzie też są pochłaniane przez atmosferę, lecz są pewne „okna” przez które część z nich przechodzi. Podobnie jest w zakresie fal o długości około 10 000 Å. Światło widzialne i bliska podczerwień jak już wspominaliśmy przechodzą przez atmosferę bez problemów podobnie jak kotony w przedziale od 1 mm do 30 cm (10 MHz). Natomiat przedział od 10 000 Å do 1 mm przepuszcza tylko część fotonów „oknami”. Fale o większej częstotliwości od 10 MHz są ponownie odbijane w przestrzeń.

Mam nadzieję, że artykuł ten pomoże wielu naszym amatorom w wyborze miejsca na obserwatorium, a dobrze usytuowane obserwatorium to duża gwarancja dobrych obserwacji.

Maciej Warzecha
ul. Daniłowskiego 8 m. 110
01-833Warszawa

przyjęcia Anna przestała chodzić, bo była w ciąży. Coraz bardziej kochała się w tym wylizanym oficerku, chyba z nudów. Bo innego powodu nie widziałam. Nie podobała mi się ta heroina. Histeryczka, skora do robienia mężowi i służbie awantur. E, tam!

Książki nie znałam, ale koleżanki w szkole powiedziały mi, że rzecz kończy się tagicznie i – prawdę mówiąc – przyrzekłam sobie, że ostatniego odcinka, w którym Anna rzuca się pod pociąg, oglądać nie będę.

Matkę obudziły triumfalne fanfary dziennika telewizyjnego.

Zrobiłyśmy sobie po kubku kakao z mlekiem.

– Jesteś znacznie fajniejsza od tej Anny Kareniny – powiedziała do matki. – I ładniejsza.

Matka roześmiała się. Nachyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy, co u niej jest dowodem największego rozczulenia.

– Doroślejesz w gwałtownym tempie, staruszko – powiedziała. – Niedługo będziesz młodą kobietą.

Przestraszyłam się. Potem w łóżku zwierzyłam ci się, Lila, z moich nagle wzbudzonych obaw. Więc wkrótce zostaną młodą kobietą, potem kobietą w średnim wieku, wreszcie starą babą. Jest to nieuchronne. Nie ma na to żadnej rady. Nigdy przedtem o tym nie myślałam. Nie wpadło mi do głowy. Stanę się odpowiedzialna za wszystko, co będę robiła. Będę musiała sama o wszystkim decydować. Organizować sobie życie na własną rękę. Zarabiać na nie. Czy podołam temu?

Zapewniłaś mnie spokojnie, że z pewnością nauczę się żyć. Mówiłaś, że każdy ze znanych ci dorosłych był kiedyś dzieckiem i że jakoś każdemu z nich leci, bo tak już z tym jest. Gorzej albo lepiej, ale jakoś.

No właśnie, myślałam, gorzej albo lepiej, ale chodzi o to, żeby sobie radzić dobrze. Czy można się tego nauczyć? Jak? Od kogo?

Tyle pytań kołatało po mojej głowie.

Bez wahania stawiałam ci je, jak tylko któreś z nich zaczynało mnie dręczyć. A ty starałaś się odpowiedzieć, jak umiałaś najlepiej. Nie zawsze może najtrafniej w świecie, ale zawsze uczciwie. Tak mi się przynajmniej zdawało. Nie mogłaś w końcu być o tyle mądrzejsza ode mnie. Byłaś przecież moim drugim ja.

Stawiałam ci czasami bardzo głupie pytania. Zwierzałam ci się często z bardzo głupich myśli. Bo tylko z tobą byłam naprawdę sobą. Ciebie nie wstydziłam się nigdy. Z tobą nie bałam się po prostu wygłupić. Dlatego byłaś dla mnie tak ważna. Dlatego byłaś mi tak potrzebna. Dlatego tak szybko przywiązałam się do ciebie.

Penetrację „naturalnego środowiska” ojca postanowiłyśmy – jak już mówiłam – przeprowadzić w telewizji. Przebywał tam często. Brał udział w przedstwieniach teatru TV, deklamował wiersze, raz nawet śpiewał piosenki. Marnie, moim zdaniem. Ostatnio widzieliśmy go w popularnym programie polegającym na odgadywaniu zawodu człowieka przez stawianie mu pytań. Ojciec był jedną z czterech zgadujących, a tym samym pytających osób. Nic dziwnego, że zapraszano go częściej niż innych zgadywaczy. Był dowcipny, szybki, miał ładny głos i całkiem przystojnie wyglądał, chociaż, według mnie, bardzo staro.

Do programu tego dopuszczano publiczność. Prosiłam ojca o złatwienie mi biletu wstępu. Prawdę mówiąc, wygłupiłam się, bo zwróciłam się do niego o dwa bilety. Chciałam przecież pójść z tobą, Lila. Że tobie żadnego biletu nie trzeba, wiedziałam doskonale. Ale byłaś już wtedy dla mnie drugim towarzyszącym mi nieodłącznie, człowiekiem.

Ojciec powiedział mi, że zostanę umieszczona na liście osób upoważnionych do wejścia do studia, która będzie wyłożona w hallu. Poprosił mnie o imię i nazwisko koleżanki, którą zamierzałam zabrać ze sobą.

Po chwili namysłu wymieniłam Madzię Kamińską. Zarumieniłam się przy tym po uszy. Ojciec spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Może zamierzasz pójść z kolegą? – zapytał figlarnie.

– Też pomysły – warknęłam.

Pogłaskał mnie uspokajająco po głowie.

Z moim ojcem trudno było wejść w konflikt. Wycofywał się natychmiast. Starał się wszystko łagodzić. Było w nim coś takiego, co bało się kłótni. Mało tego – dyskusji. Nie jestem pewna, czy w ogóle miał taką rzecz, jaką moja matka nazywa własnym zdaniem. I co – jak twierdzi – wysoko ceni. Jako aktor od lat mówi cudzymi tekstami. Wypowiada więc cudze zdania. Wymyślone przez innych ludzi. Dla wymyślonej przez nich postaci. Postaci, w którą mój ojciec musi się wcielić. Którą musi udawać. W której skórę obleka się. Czy jak to nazwać. Pewnie ma to jakąś trudną definicję. Której nie znam.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Inna Bójska
Opracowanie techniczne
Jerzy Rusak
Korekta
Blanka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 1981/G. M-105

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

W SĄDZIE: – Niech oskarżony powie, jak doszło do tego, że wszedł w posiadanie zegara sprzed sklepu...

– To przez moje zamiłowanie do towarzystwa. Szedłem ulicą. Patrzę: zegar też idzie. No i dalej poszliśmy razem.

★

KONDUKTOR pociągu do pasażera:

– Proszę pana, ten pies nie może leżeć na siedzeniu!

– Przecież zapłaciłem za jego przejazd!

– Owszem, ale nogi – jak każdy pasażer – musi trzymać na podłodze...

Wyszłam z poczekalni. Wsunęłam głowę do sekretariatu i powiedziałam pani rejestratorce, że rozbolała mnie głowa, że wracam do domu, gdzie naszykuję mamie kolację i jeszcze, że proszę, aby jej nie mówiła o mojej wizycie, bo zmartwi się, że mnie nie widziała.

Wracałyśmy piechotą. pamiętasz, Lila? Kawał drogi. Ale nie warto nam było spieszyć się, bo pacjentów moja mama miała jeszcze co najmniej na dwie godziny.

Zastanawiałyśmy się, co jej kupić z okazji tego Dnia Matki. Bo kwiaty dostawała codziennie. Poszłyśmy do malutkiego prywatnego sklepiku i kupiłyśmy miniaturowy niemal jasieczek w niebieskiej powłoczce. Jeszcze do niedawna pomysł taki nie wpadłby mi do głowy. Ale odkąd się zjawiłaś, coraz częściej miewałam takie dobre, niebanalne myśli. Ja? Czy ty, Lila? Co za różnica?

W długiej drodze do domu pozwoliłam ci mówić. Chwaliłaś się trochę sukcesem naszej inspekcji terenu mojej matki. Namawiałaś mnie na spenetrowanie również kulis teatru albo telewizji, celem podpatrzenia ojca w jego „naturalnym śodowisku".

Życie rodziców toczy się poza zasięgiem twojego wzroku, mówiłaś. Podobnie, jak twoje życie w szkole jest dla nich niedostępne. Tak jak ty, przebywają przez cały niemal dzień w towarzystwie ludzi, których nie znasz. Robią rzeczy, o których nie masz zielonego pojęcia. Zachowują się, siłą rzeczy – zupełnie inaczej, niż we własnym domu. W domu mają nawet inne twarze. Prywatne. W odróżnieniu od publicznych, które nakładają, kiedy opuszczają własny próg. Sama widziałaś, jak bardzo inna jest twoja matka w przychodni. W białym fartuchu. Z grzecznie przyczesanymi włosami. Z nieznanym ci uśmiechem na twarzy. Mówiła przecież nawet całkowicie innym tonem, niż ten, którym mówi do ciebie czy do ojca. Teraz znasz ją już o tyle lepiej, niż przed dwiema godzinami. Teraz będziesz na nią patrzyła inaczej. Inaczej reagowała na jej postępowanie. Nawet kiedy będzie stała w kuchni i smażyła racuchy. Może nie będziesz się tak zżymała, kiedy odpowie ci zdawkowo na jakieś pytanie. Bo przypomnisz sobie, jak spędza dzień. Bo pomyślisz, że może zastanawia się nad tym, jaki lek podać któremuś ze swoich małych pacjentów, jeżeli ten, który mu zapisała, nie podziała. I że jeżeli nawet nie snuje takich poważnych myśli, ale odwrotnie – lekkie, frywolne, dotyczące sukien czy makijażu – to, powiesz sobie w duchu z ulgą, że to dobrze, że to doskonale, że ta twoja matka zasługuje na każdą chwilę relaksu, zabawy, odpoczynku.

Tego wieczoru, kiedy siedziała przed telewizorem wsparta w fotel, z głową wtuloną w ofiarowany jej przeze mnie niebieski jasieczek, zerkałam na nią co kilka minut, odrywając wzrok od ekranu, na którym toczyły się tragiczne dzieje Anny Kareniny, bohaterki Lwa Tołstoja, granej przez śliczną, angielską aktorkę. Moja matka drzemała dyskretnie.

Jeszcze bardzo niedawno temu zdenerwowałoby mnie to i zbudziłabym ją. Ale dzisiaj miałam nadzieję, że ani Anna, ani jej wstrętny mąż nie zechcą – akurat w tym odcinku – sprzeczać się zbyt głośno. Patrzyłam na matkę pełna macierzyńskich, tak, właśnie, macierzyńskich uczuć. Myślałam przez moment o tym, żeby wstać i ściszyć telewizor, ale i to mogłoby ją przecież zbudzić. Na szczęście odcinek był względnie spokojny. Anna szlochała wprawdzie gorzko, no bo rzeczywiście wplątała się w niesamowitą historię z tym Wrońskim. Snuła się w kosztownych, powłóczystych szatach po wielkich, wspaniale umeblowanych pokojach, bo nie miała nic, ale to nic do roboty. Synkiem jej zajmował się wychowawca, domem liczna służba, a na

Dokończenie na str. 7